

Krzysztof
Umiński
Trzy
tłumaczk

MARGINESY

Zrealizowano w ramach stypendium z budżetu
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Książka powstała dzięki stypendium artystycznemu m.st. Warszawy.



Książka powstała dzięki wsparciu Funduszu Wyszehradzkiego.



Książka powstała w ramach stypendium
z Funduszu Popierania Twórczości ZAiKS.
Jej fragment powstał podczas rezydencji literackiej
w Dusznikach-Zdroju zorganizowanej przez
Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury
i Stowarzyszenie Unia Literacka.

COPYRIGHT © BY Krzysztof Umiński

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

ROZDZIAŁ I

DZIENNIK, KTÓREGO NIE BYŁO

Tamtego poranka Joanny Guze nie było już w mieście – zdążyła ocalić życie.

Nocą z trzeciego na czwartego lipca 1941 roku w dopiero co zajęтым Lwowie Niemcy aresztowali grupę polskich uczonych, doprowadzili ich o świcie na Wzgórza Wóleckie i rozstrzelali czwórkami nad świeżo wykopanym dołem. Od jednej z salw zginął Tadeusz Boy Țeleński. *Wielki testament, Dzieje Tristana i Izoldy, Gargantua i Pantagruel, Próby, Niebezpieczne związki, Kubuś Fatalista i jego pan, Czerwone i czarne, Pustelnia parmeńska, Ojciec Goriot, Stracone złudzenia...* Kto lubi francuską literaturę, może wyliczankę ciągnąć długo, recytując osobisty dług wdzieczności.

„To, co zrobił Boy, nie ma odpowiednika w świecie. On stworzył francuską literaturę dla Polski. W sposób doskonały” – powie Joanna Guze blisko siedemdziesiąt lat później¹. Wtedy sama będzie legendą, a jej dorobek tłumaczeniowy sprawi, że niektórzy będą ją nazywać Boyem w spódnicy. Wątpię, żeby ją to zachwycało. Spódnice, owszem, nosiła. Boya darzyła rewerencją. Ale za frazesy była gotowa rozbić w proch.

Tymczasem jednak jest rok 1941 i trwa niemiecka ofensywa na wschód. Guze ma dwadzieścia cztery lata, a za sobą nieskończone studia z filozofii i historii sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza.

Języka francuskiego nie zna jeszcze ani w ząb. Wkrótce czeka ją intensywny kurs rosyjskiego i tego, co Leopold Tyrmand nazwie cywilizacją komunizmu. Nim wejdą Niemcy, opuszcza rodzinne miasto. Matematyk Hugo Steinhaus notuje: „Koleżanka mojej córki, Joanna Guze, wyszła z domu w letnim płaszczyku, bez walizki i poszła z wojskiem sowieckim”².

Dziewczyna w letnim płaszczyku znika samotnie w otchłaniach Rosji. Powraca po trzech latach jako człowiek pozbawiony przeszłości i pamięci, przynajmniej na pozór. Przez pół wieku milczy o tym, co przeszła na Wschodzie; przedwojenne życie wspomina półsłówkami. W lipcu 1944 roku zjawia się w Lublinie jako oficer oświatowy w 1. Armii Wojska Polskiego, która u boku Armii Czerwonej sunie na zachód. Ma mundur, broń i szorstkie maniery. Tak zapamiętała ją Julia Hartwig. Niebawem staną się dla siebie jak siostry, ale początkowo Joanna Guze robi na młodszej od siebie poetce przykre wrażenie.

„Nosiała mundur wojskowy, dłużej, niż powinna, a to z braku środków na zakup ubrania cywilnego [...]. Była hałaśliwa, pewna siebie, nie miała cierpliwości do innych [...] Dziś, kiedy jej już nie ma i kiedy wspominam ten długi okres naszej przyjaźni, mogę powiedzieć, że wady te były w dużej mierze manifestacją osobowości zduszonej przez ciężki okres pobytu w Rosji” – napisze Hartwig pod koniec życia³.

W Lublinie Joannę Guze spotkał też Jacek Bocheński, osiemnastolatek drukujący pierwsze wiersze w „Odrodzeniu”. Wysoka żołnierka wypatrzyła go na poranku poetyckim i zaprosiła do siebie na kwaterę, gdzie przy herbacie i papierosach dyskutowało kilku starszych literatów. W pewnym momencie Julian Przyboś wziął do ręki odpasany pistolet gospodyni i zaczął się nim bawić.

– To nie jest dla mężczyzn – zbeształa awangardzistę Guze, konfiskując mu broń.

Następne dwa lata wypełnia jej tułaczka, typowa dla życiorysów ludzi, którzy podczas wojny utracili wszystko; wędrówka o mglistej chronologii, pełna białych plam i zatartych związków przyczynowo-skutkowych. Jest komendantem wojskowym Puław. Podczas

powstania pojawia się w prawobrzeżnej Warszawie. Towarzyszy zespołowi zajmującemu się tropieniem zaginionych i skradzionych dzieł sztuki. Zostaje kierowniczką departamentu muzeów i ochrony zabytków w resorcie kultury powołanym przez PKWN. W początkach 1945 roku, wysłana do Krakowa, zakłada przy tamtejszym magistracie wydział kultury i obejmuje w nim stanowisko zastępczyni naczelnika. Wchodzi w kręgi krakowskiej inteligencji, poznaje Jerzego i Annę Turowiczów, żagarystę Jerzego Zagórskiego i jego żonę Marynę. Są to załóżki przyjaźni na całe życie. Wtem nieszczęście: Guze zostaje oskarżona o defraudację pieniędzy z kasy miejskiej, aresztowana i osadzona w więzieniu przy ulicy Senackiej. W jej obronie staje grono prominentnych pisarzy. Po dwóch tygodniach przyszła tłumaczka wychodzi na wolność. Zimą 1946 roku otrzymuje list od Stefana Żółkiewskiego, redaktora naczelnego „Kuźnicy”, który nakłania ją, żeby dołączyła do zespołu tygodnika. Wkrótce Guze jest już w Łodzi, jeszcze jednej – po Lublinie i Krakowie – stolicy kielkującego życia kulturalnego. Nowe miasto, nowe środowisko, nowe znajomości. W dwóch kamienicach przy zbiegu ulicy Bandurskiego i alei Kościuszki mieszkają pisarze: Kazimierz Brandys, Jan Brzechwa, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Zofia Nałkowska, Leon Pasternak, Adam Ważyk... Niektórzy z nich to niedawni koledzy z wojska. Jan Kott, forsujący na łamach „Kuźnicy” marksistowską humanistykę, jest mężem jej lwowskiej przyjaciółki Lidii z domu Steinhaus.

Po roku: następna przeprowadzka. Dzięki poparciu Żółkiewskiego Guze dostaje stypendium Ministerstwa Oświaty i razem z Julią Hartwig wyjeżdża do Paryża. Spędzi tam osiemnaście miesięcy. Zadzierzgnie przyjaźnie, obejrzy setki obrazów, przeczyta morze książek, w niewiarygodnym tempie przyswoi język i zacznie z niego tłumaczyć. Wymyśli sobie na nowo, a może raczej: ziści hołubione od dawna marzenie.

Jesienią do jej hoteliku położonego przy ulicy Tournon, między Ogrodem Luksemburskim a bulwarem Saint-Germain, przychodzi list od Ireny Sztachelskiej, koleżanki z batalionu platerówek. „Przypomniałam sobie – pisze Sztachelska – jedną naszą rozmowę

w ziemiance pod Siedlcami*. Ty, Lutka i ja rozmawialiśmy na bardzo wtedy nierealny temat – co kto by chciał. Ty powiedziałaś, że chciałybyś pojechać na studia do Paryża. Brzmiało to dosyć dziwnie – nie wiedziałyśmy wtedy, co z nami będzie i co w ogóle będzie. Należałoby tu dodać morał «chcieć to móc»⁴.

Sztachelska, starsza od Guze o sześć lat i już w latach trzydziestych związana ze środowiskiem radykalnej wileńskiej lewicy (w tych samych kręgach obracał się Czesław Miłosz), w platerówkach była zastępczynią dowódcy do spraw wychowawczych. Po wojnie została przewodniczącą Ligi Kobiet i posłanką na Sejm, gdzie inicjowała debatę nad równouprawnieniem płci. Później, zgodnie ze swoim wykształceniem, pracowała jako lekarka pediatra. Legitymację PZPR złożyła w dniu, w którym padły strzały do górników w kopalni Wujek. Trzecia uczestniczka rozmowy w ziemiance pod Siedlcami, „Lutka”, to najpewniej Ludwika Bibrowska, która przejęła w batalionie funkcję Sztachelskiej. Bibrowska, odznaczona między innymi Krzyżem Walecznych, po wojnie pracowała w Polskiej Misji Repatriacyjnej w Berlinie, w latach pięćdziesiątych należała do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei, a po odejściu ze służby wojskowej (w stopniu pułkownika) objęła posadę wicedyrektora departamentu w Ministerstwie Oświaty. Tak, przeróżne ścieżki otwierały się przed oficerkami Batalionu Kobięcego. Ale podporucznik Joanna Guze śniła o Paryżu.

* * *

Zasłynęła tłumaczeniami powieści i esejów Alberta Camusa: *Dżuma*, *Upadek*, *Mit Syzyfa*, *Człowiek zbuntowany*... Rozgłos i czytelniczą wdzięczność zaskarbili jej także *Trzej muszkietierowie*. Ale kiedy patrzę na jej bibliografię, z miejsca uderza mnie coś innego:

* Przywołane w liście Siedlce chciałyby się odruchowo poprawić na „Sielce”, miasto pod Riazaniem, gdzie latem 1943 roku powstał Samodzielny Batalion Kobięcy im. Emilii Plater. Możliwe jednak, że istotnie chodzi o Siedlce, te na Podlasiu południowym, które znalazły się na trasie marszu platerówek.

mnogość wspomnień, dzienników i listów. Dzieł rozpiętych pomiędzy opowieścią o miejscu, czasie i środowisku a egotyczną eksploatacją własnego wnętrza. Tłumaczyła *Dzienniki poufne* Benjamina Constanta, *Pamiętniki z za grobu* Chateaubrianda, *Podróż do Hiszpanii* Théophile'a Gautiera, *Dzienniki Eugène'a* Delacroix, *Dziennik Jules'a* i Edmonda de Goncourt, *Listy do brata* Vincenta van Gogha, *Dziennik Jules'a* Renarda, *Dziennik intymny* Henri Frédérica Amiela, *Dziennik André Gide'a*, *Notatniki* Camusa, *Spotkania ze sobą* François Carco, *Antypamiętniki* André Malraux...

Jeżeli czytanie i tłumaczenie – a to drugie stanowi przecież skrajną formę pierwszego – jest poniekąd rezygnacją z własnego życia i otwarciem na cudzy głos, to przekład dziennika byłby tej rezygnacji ostateczną i radykalną postacią. Godziny, tygodnie, lata spędzone na pieczołowitym przenoszeniu drgnień cudzej duszy z jednego języka na drugi. Poniedziałek – on. Wtorek – on. Środa – on. I tak do śmierci. Można sobie wyobrazić ekstremalny wariant tej sytuacji. Ktoś, zapewne niezgorzej sytuowany, spędza życie na zapisywaniu co dzień swych przygód, myśli i wzruszeń. Ktoś drugi – na ich tłumaczeniu. Joanna Guze ze swoim dorobkiem zbliżyła się do tej skrajności. Po cichu robiła to samo, co Witold Gombrowicz czynił z hukiem i pompą: wprowadzała ego do literatury polskiej. Tyle że było to ego (a właściwie ega) cudze. O sobie milczała – choć nie do końca.

Rodzinę straciła w czasie wojny. Nowej zakładać nie chciała – zbudowała ją z przyjaciół. A że w przyjaźniach była równie sumienna jak w pracy, to pielęgnowała je, pisząc długie listy: o książkach, filmach, teatrze i sporach intelektualnych. Tropiąc tę korespondencję w prywatnych i publicznych archiwach w Polsce, Francji i Niemczech, odszukałem blisko dwie setki listów. Układają się one we fragmentaryczną opowieść o ponad sześćdziesięciu latach z życia Joanny Guze – w dziennik, którego nie było.

* * *

18 MARCA 1947, PARYŻ
[DO MARYNY ZAGÓRSKIEJ*]

Jestem tu już od miesiąca i czuję się wybornie. Z pieniędzmi jakoś sobie daję na razie radę, bo dostałam 15.000 fr. z Komisji Dewizowej. Stypendium wynosi 4.500 fr. miesięcznie, ale za hotel płacę oddzielnie. Nie jest to, jak wiesz sama, zbyt dużo, szczególnie że od czasu gdy tu byłaś, ceny wzrosły prawie dwukrotnie. Nie martwię się jednak wcale; Paryż wystarcza mi sam przez się; można tu być szczęśliwym bez życia osobistego, pieniędzy, sukien itd., co świadczy dostatecznie o potędze atrakcyjnej tego miasta. Biegam od rana do nocy, po ulicach, wystawach, kinach i teatrach; trochę czytam i trochę pracuję.

[...]

Z nikim się tu nie widuję, prócz Julii Hartwig, z którą mieszkamy w jednym hotelu⁵.

* * *

Tyle przeżyć i ledwie jeden zachowany list. Na szczęście inne źródła utrwaliły garść szczegółów z tamtego formacyjnego okresu. Wiadomo więc, że prócz Julii Hartwig jej najbliższymi towarzyszami w Paryżu byli: Jan Białostocki, który później zdobędzie światową sławę jako historyk sztuki; Zygmunt Kałużyński, ówczesny mąż Hartwig, i prozaik Wilhelm Mach. Że Guze żyła za grosze, odgrzewając skromne posiłki na ustawionej w pokoju maszynie spirytusowej, a do stypendium dorabiała, ucząc łaciny w polskiej szkole, pracując jako korektorka w drukarni i pisząc słuchowiska dla francuskiego radia.

W dwóch wywiadach udzielonych pod koniec życia przywołała tamten Paryż: „ciemny, życzliwy, chętny ludziom, biedny”⁶.

* Maryna Zagórska (1906–1996) – tłumaczka literatury rosyjskiej, ukraińskiej i czeskiej; żona poety Jerzego Zagórskiego z grupy Żagary. Joanna Guze poznała ją w 1945 roku w Krakowie, za pośrednictwem Lidii Kott, którą Zagórscy ukrywali w czasie wojny (razem z jej mężem Janem Kotttem), za co w 1972 roku otrzymali medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Wspominała kartki żywnościowe i ludzi spragnionych kultury, tłoczących się w kolejkach na koncerty. Wieczór, kiedy słyszała, jak George Enescu i Yehudi Menuhin grają Bacha na dwoje skrzypiec... Kwestię najbardziej dramatyczną ujęła zwięźle: „Przy końcu każdy myślał, czy ma wracać, i do czego. Na ogół ludzie wracali”⁷.

(Dyskretna tłumaczko, powściągliwa eseistko. Nigdy spraw tak subtelnych nie zawierałaś żywemu słowu. Gdyby starczyło ci czasu, sił i wzroku, może napisałabyś o tamtych rozterkach, tak jak w końcu napisałaś o tym, co przeszłaś w Rosji).

Jedynym znanym mi pisemnym świadectwem dotyczącym jej powrotu są materiały Służby Bezpieczeństwa, utworzone pod koniec lat siedemdziesiątych (a więc blisko trzy dekady po paryskim stypendium), kiedy to bezpieka obserwowała Guze ze względu na jej kontakty z opozycją. Jest wśród nich jej życiorys, opracowany na podstawie dawniejszych akt, w którym można wyczytać, że „po wygaśnięciu stypendium przez kilka miesięcy pracowała we Francji jako instruktor świetlicowy przy tamtejszym związku Kół Teatralnych. Po odebraniu jej paszportu w Konsulacie w Paryżu do kraju powróciła transportem repatriacyjnym. Powodem odebrania jej paszportu było popełnienie przestępstwa w kraju i toczące się przeciwko niej postępowanie karne”⁸.

„Odebranie paszportu”, „popełnienie przestępstwa”, „postępowanie karne”, „transport repatriacyjny” – w tych frazach słychać trzask kajdanek. Jednak zachowane listy od przyjaciół z tamtego okresu odnoszą się do kłopotów Joanny Guze w tonie dosyć beztróskim, jakby chodziło o dotkliwie, lecz niegroźne zatrucie pokarmowe. Z dat tychże listów wynika ponadto, że Guze o konieczności powrotu dowiedziała się najpóźniej w początkach sierpnia 1948 roku, natomiast do pociągu repatriacyjnego wsiadła – w towarzystwie Jana Białostockiego – w połowie października. Wyjazd, chociaż wymuszony, nie odbył się gwałtownie*.

* Cytowany wyżej raport SB jest jedynym znanym mi dokumentem, który odnosi się do procesu Joanny Guze. Zawiera m.in. informację, że 26 stycznia 1948 roku Guze została skazana na rok więzienia w zawieszaniu na trzy

Oprócz zawirowań prawno-paszportowych towarzyszyły mu jednak komplikacje innej natury. Przed wspólnym powrotem do Polski Białostocki przedstawił Joannie Guze swojego przyjaciela z czasów nauki w warszawskim gimnazjum Batorego. Andrzej Vincenz, młodszy od Guze o cztery lata, był, tak jak ona, ekszołnierzem. Należał do 1. Dywizji Pancерnej generała Maczka, uczestniczył w lądowaniu w Normandii, a potem w wyzwolaniu Francji, Belgii, Holandii i Niemiec. Po demobilizacji rozpoczął studia na Sorbonie: anglistykę, romanistykę, językoznawstwo.

Trudno dokładnie odtworzyć dzieje relacji Guze i Vincenza. Ich korespondencja, mocno zdekompletowana, sugeruje, że bliższą zażyłość nawiązali późnym latem 1948 roku. Wkrótce się zaręczyli (zapewne jeszcze przed jej powrotem do Polski), a kiedy ona wyjechała, związek kontynuowali na odległość.

Erasmus – rozrzewni się ktoś, kto kochał i studiował w zjednoczonej Europie na początku dwudziestego pierwszego wieku. Trochę tak, tyle że na zgliszczach. I z żelazną kurtyną między dwojgiem zakochanych. Ale na razie, choć zimna wojna staje się coraz bardziej lodowata, długie listy wartko płyną między Warszawą a Paryżem. Siła uczuć wyraża się w nich nie przez żarliwe zaklęcia – narzeczeni

lata. Tę rewelację traktuję ze sceptycyzmem. Po pierwsze, taka kara byłaby zaskakująco niska (z notatek w ówczesnej prasie krakowskiej wynika, że za defraudację mniejszej kwoty można było trafić do więzienia na pięć lat). Po drugie, trudno wyjaśnić, dlaczego proces miałby się odbyć pod nieobecność podsądnej: w styczniu 1948 roku Guze mieszkała w Paryżu, ale przed nikim się nie ukrywała, otrzymywała państwowe stypendium i publikowała w ogólnopolskim tygodniku. Po trzecie wreszcie, sama Guze, w życiorysie złożonym w kwietniu 1949 roku przed komisją wojskową, otwarcie pisze o krakowskim incydencie, nadmienia o swoim aresztowaniu, lecz ani słowem nie wspomina o późniejszym procesie i wyroku.

Poza cytowanym raportem SB ani w IPN, ani w Archiwum Narodowym w Krakowie nie znalazłem żadnych dokumentów świadczących, że proces w ogóle się odbył. Niewykluczone więc, że akta SB zawierają niecisłe lub zgoła błędne informacje. Jeśli zaś chodzi o rzekomą winę Guze, to ta kwestia dla współczesnego badacza pozostaje, jak sądzę, niemożliwa do rozstrzygnięcia.

zwracają się do siebie per pan i per pani – a przez trud jak najcelniejszego pisania i myślenia: dla drugiej osoby.

* * *

26 LISTOPADA 1948, WARSZAWA

[DO ANDRZEJA VINCENZA]

Znacznie czuję się lepiej, bo trochę zebrałam się w sobie i zaczęłam pracować. Ciągłe mam jakieś propozycje i zamówienia na artykuły i bylebym pisała, dam sobie finansowo radę. W „Nowinach” pójdą moje przekłady z Baudelaire’a i recenzja z wystawy malarstwa francuskiego [...] otwartej niedawno w Muzeum Narodowym. *Essay* o Baudelairze poszedł w „Kuźnicy” jeszcze w październiku; chciałabym, żeby Pan przeczytał, bo bardzo jestem ciekawa Pana zdania*.

[...]

Jestem ogromnie rada, że widzi Pan Julię [Hartwig] naprawdę. To jest człowiek rzadkiej piękności, ale tak chytrze ukrytej, że mało kto się na tym pozna, tym bardziej, że jej sposób bycia i cały styl życiowy jest tak gładki i tak w proporcji do niej banalny, że broni ją wybornie od ciekawych oczu wścibskich. To mądre, co Pan pisze o tej granicy, której przekroczenie grozi wulgarnością. Umiejętność zachowania równowagi też zawsze wydaje mi się cudem i istotnie, jak Pan powiada, jest esencją jej doskonałości, bezbłędnej harmonii – wszystko jedno, jak się to nazwie. To wielkie szczęście, że tacy ludzie jak ona istnieją na tej ziemi. Bardzo mi jej tutaj brak⁹.

* Prawie pół stulecia później obszerne fragmenty tamtego tekstu Guze włączy do swojego eseju o Baudelairze zamieszczonego w książce *Dialogi ze sztuką*. Świadczy to m.in. o tym, jak wyrazistym, własnym głosem (a nie głosem epoki) pisała w roku 1948. Należy wątpić, czy znalazłoby się wielu autorów „Kuźnicy” skłonnych po pięćdziesięciu latach wznowić swoje ówczesne wywody.

18 GRUDNIA 1948, WARSZAWA

[DO ANDRZEJA VINCENZA]

W ostatnim (świętecznym) numerze „Nowin” pójda Pana przekłady z Whitmana, widziałam już w korekcie, bo mam w tym samym numerze przekłady z Baudelaire’a. Można powiedzieć, że zapełniliśmy dwa ostatnie numery tego przedwcześnie umierającego pisma w sposób rodzinny, bo w przedświętecznym jest Julii Apollinaire, Janka [Białostockiego] artykuł o tkaninach francuskich i moja recenzja o francuskiej wystawie, zaś w ostatnim jak się rzekło wyżej*.

8 STYCZNIA 1949, WARSZAWA

[DO ANDRZEJA VINCENZA]

Przełamalam martwy okres i zaczęłam czytać (czy uwierzy Pan, że nie czytałam przez dwa miesiące?). Na pierwszy ogień połknęłam Giraudoux *Sodome et Gomorrhe* i *Amiftriona*, teraz zaś zabrałam się do *Journalu Du Bosa*, który kupiłam na wystawie książki francuskiej w Muzeum Narodowym. [...]. Du Bosa czytam na zmianę tzn. równoległe z Benda, *La France byzantine*, co daje świetne efekty, ponieważ Benda najidealniejszym zaprzeczeniem Du Bosa: antybergsonista, przeciwnik Gide’a, Prousta, Mallarmégo, Giraudoux etc. Abstrahuję tu, rzecz jasna, od typu pisarstwa: Benda to badacz, szperacz, znawca tzw. bezstronny, ale bardzo uparty w swoim sposobie widzenia, Du Bos – artysta, cienki, wnikliwy, ludzki i bardzo wzruszający. Inna rzecz, że całkowicie należy do epoki minionej, tego okresu, który Benda nazywa okresem triumfu *de la littérature pure*; zdaje mi się, że

* Względnie niezależny tygodnik „Nowiny Literackie” ukazywał się od 1947 roku. Jego redaktorem naczelnym był Jarosław Iwaszkiewicz, a wydawcą spółdzielnia Wiedza należąca do Polskiej Partii Socjalistycznej. Po przymusowym połączeniu PPS z PPR w grudniu 1948 roku prasę PPS zlikwidowano. Proces ten zbiegł się z innymi objawami zaostrzenia polityki kulturalnej: chwilę wcześniej Jerzy Borejsza został zdjęty ze stanowiska prezesa Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik, a Stefan Żółkiewski przestał być redaktorem naczelnym „Kuźnicy”.

to, co się we Francji robi współcześnie – to tylko odbłask tamtego okresu, ubogi dalszy ciąg.

[...]

Baudelaire'a tłumaczę dalej ze straszną męką, bo trudny niesłychanie. Jak się rozkręcę, tzn. wejdę w lekturę, napiszę jakiś szkic – może o Cézannie i Zoli, może o Fromentinie. Najgorsze, że śpię do 9–10, co mi się nigdy nie zdarzało. Nie lubiłam jak dotąd wcześniej wstawać, ale teraz doszłam już do tego, że przed 9-tą nie mogę się obudzić. Bracie, co będzie? I żebym pracowała późno! Skąd! Do 1-wszej najdalej.

* * *

Przez cały tamten rok zabiegała o powrót do Francji. Jesienią stało się jasne, że jej starania spełzły na niczym i Polska Ludowa nie wyśle jej ponownie do Paryża. Korespondencja słabnie, wreszcie na kilka lat urywa się całkowicie. Ale do rozstania doszło, nim zamarła. Narzeczeni zerwali, kiedy stało się jasne, że ona nie przyjedzie. W jednej z ostatnich przesyłek z Francji, jako prezent urodzinowy, przyszedł egzemplarz *Le Roman de Tristan et Iseute – Dziejów Tristana i Izoldy*.

Kusi frazes: „rozdzieliła ich Historia”. Po części tak, ale to uproszczenie. Był moment, kiedy mogli zaryzykować. On – rzucić ukochane językoznawstwo na Sorbonie, zostawić rodziców, przyjechać do stalinowskiej Polski. Ona – wyrzec się tłumaczeń, esejów, załączków warszawskiej stabilizacji, przez ostatnią szczelinę czmychnąć na Zachód. Łatwo się wymyśla takie scenariusze dla innych. Człowiek, nawet najodważniejszy, czasem jest zbyt zmęczony, żeby kolejny raz postawić wszystko na jedną kartę.

* * *



Żołnierze i żołnierki batalionu im. Emilii Plater, Sielce k. Riazania, sierpień 1943. Joanna Guze piąta od prawej w górnym rzędzie.



Joanna Guze, Julia Hartwig i Maria Castellati w Paryżu (1947)

25 STYCZNIA 1950, WARSZAWA

[DO ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH]

Proszę uprzejmie o przydzielenie mi dwupokojowego mieszkania w Warszawie.

Prośbę swoją motywuję następująco:

Mieszkam w Warszawie od 1948 roku w pokoju sublokatorskim, w dwie osoby, bez prawa używalności kuchni, wskutek czego zmuszona jestem gotować na maszynie elektrycznej w pokoju będącym zarazem mieszkaniem i miejscem pracy. Ze względu na dobro pracy, jak i stosunki rodzinne niezbędne mi są dwa pokoje (pracuję wyłącznie w domu i przeważnie do późnej nocy, co niezmiernie jest kłopotliwe, gdy w pokoju śpi inna osoba).

Chciałabym jeszcze zaznaczyć, że pokój, o którym mówię, jest niewielki, całkowicie prawie wypełniony dwoma stojącymi tu tapczanami, tak że nie tylko mam kłopoty z umieszczeniem najniezbędniejszych przedmiotów, ale nie mogę nawet postawić dwóch stołów; stół, na którym piszę, służy zarazem do śniadań, kolacji etc.¹⁰

27 LUTEGO 1950, WARSZAWA

[DO IRENY VINCENZ*]

Niepotrzebnie martwi się Pani mną i Jankiem [Białostockim]. Dajemy sobie oboje radę i mamy się materialnie bez porównania lepiej niż we Francji, na głodowych stypendiach. Janek pracuje w Muzeum Narodowym i na Uniwersytecie, ma wykłady ze sztuki w Szkole Aktorskiej (u Zelwerowicza), poza tym pisuje od czasu do czasu. Ja głównie tłumaczę (obecnie *Journal Delacroix*), ponadto mam asystenturę w Akademii Sztuk Pięknych przy katedrze krytyki artystycznej. Zupełnie wystarcza na wszystko, co potrzebne.

* Irena Vincenz (1901–1991) – żona Stanisława Vincenza, matka Andrzeja. Joanna Guze poznała ją latem 1948 roku w Uriage-les-Bains pod Grenoble i z miejsca powzięła do niej ogromny szacunek. Nigdy więcej się nie spotkały, ale do śmierci Vincenzowej prowadziły korespondencję.



Joanna Guze (ok. 1949)

[...]

Przyjechała Julia Hartwig, o której słyszała Pani ode mnie i od Andrzeja. Na razie mieszka u mnie, jakoś mieścimy się w moim sublokatorskim pokoju, bardzo sobie to nawet chwalebę, bo stęskniłam się do niej porządnie¹¹.

* * *

Wkrótce Julia Hartwig, która właśnie wróciła z Paryża, znajdzie lokum w podwarszawskich Oborach, gdzie w skonfiskowanym przez władze pałacu rodziny Potulickich urządzono Dom Pracy Twórczej dla pisarzy. Stamtąd co jakiś czas wpada do przyjaciółki. Obie tłumaczą intensywnie i nawzajem szcztują swoje przekłady. Między Oborami a sublokatorskim pokojem na Żoliborzu krążą liściki, telegramy i maszynopisy: „Verne zrobiony doskonale!”; „10 stronic Aragona nie посыłam jeszcze, czekam na dalsze”; Przesyłam Ci resztę Mériméego... Proszę Cię, przeczytaj bardzo uważnie ostatnie 20 str. a zw. od sceny 32-giej”¹².

Najpierw Baudelaire, potem dziennik Delacroix i teatr Prospera Mériméego... Guze zanurza się w dziewiętnastowieczną Francję. Z pasji, to pewne. Jest w tym może i szczypta eskapizmu. Jak gdyby odwracała się od rzeczywistości, która ukazuje coraz potworniejszą twarz. Względne swobody kulturalne pierwszych powojennych lat nikną w oczach. Państwo kładzie rękę na prywatnych oficynach, cenzura pustoszy plany wydawnicze. Baudelaire i Delacroix będą latami czekać na wydanie. Z czego żyć?

Pierwszym opublikowanym przekładem książkowym Joanny Guze są *Trzy barwy czasu* radzieckiego pisarza Anatolija Winogradowa, powieść o Stendhalu, w przedziwny sposób odbijająca miniony i przyszły życiorys tłumaczki. Akcja rozpoczyna się od marszu wojsk przez Europę Wschodnią (Stendhal był intendentem w armii Napoleona). W dalszych partiach pojawiają się pisarze, których była żołnierka będzie kiedyś tłumaczyć: Charles Nodier, Prosper Mérimée, Alfred de Musset i Théophile Gautier. W płonącej Moskwie Stendhal na marginesie czytanej książki notuje: „Bez wielkiego

obciążenia, które daje praca, statek życia staje się igraszką każdego wiatru”¹³. Kilka lat później Guze przełoży osobliwie podobną frazę: „Oto pewność: w codziennej pracy. Reszta wisi na włosku, zależy od nieznanych ruchów, nie można zatrzymywać się nad tym. Najważniejsze to dobrze wykonywać swój zawód” – te myśli przebiegają przez głowę doktora Rieux¹⁴.

Takie dewizy mogłaby równie dobrze zapisać sobie Joanna Guze. Sęk w tym, że przyszło jej debiutować w czasach, kiedy nawet niewinna z pozoru praca tłumacza mogła wkleść w dwuznaczne sytuacje. Po *Trzech barwach czasu* Guze przełożyła *Ojców i dzieci* Turgieniewa, młodzieżową *Szkołę Robinsonów* Jules’a Verne’a – oraz dwie książki, o których pewnie wolałaby zapomnieć: *Dalekie strażnice* Siergieja Dikowskiego i *Nadzieję pokoju* Ilji Erenburga. Pierwsza z nich to zbiór socrealistycznych opowiadań ze wschodnich rubieży ZSRR (ich bohaterami są m.in. czekiści, pogranicznicy i psy gończe), druga – błyskotliwie napisany pamflet antykapitalistyczny, będący też – tu pojawia się kłopot – hymnem ku chwale zbrodniczego imperium i jego samowładcy, któremu autor poświęcił osobny panegiryk.

Naiwnością byłoby sądzić, że Guze przetłumaczyła te książki dla korzyści innej niż zwykle honorarium. Przekład Erenburga nie otwierał drzwi do żadnych splendorów i stanowisk – z tych zresztą zrezygnowała już wcześniej. *Nadzieja pokoju* i *Dalekie strażnice* są marnym pyłem wobec wagi jej dorobku, ale stanowią jego część i podsuwają pytania: za co odpowiada tłumacz? Czy tylko za jakość swej pracy? Czy również za idee, które niesie tłumaczona przezeń książka?

Te kwestie zachowują ważność także poza granicami państwa totalitarnego. Parę lat temu Jerzy Jarniewicz wzburzył środowisko esejem, w którym postawił – niepopularną, jak się okazało – tezę: tłumacz winien odpowiadać nie tylko za „jak”, ale też za „co”¹⁵. Polemikę z Jarniewiczem podjął młodszy o pokolenie anglista Rafał Lisowski. Zauważył, że mało który tłumacz ma realny wpływ na to, co się publikuje; że z czegoś żyć trzeba; że ambitnych książek (to jego określenie) jest mało, a tłumaczy wielu; że literatura popularna podtrzymuje upadające czytelnictwo¹⁶. Przyznając: bliższy

mi jest maksymalizm Jarniewicza. Uważam, że tłumaczyć warto wtedy, kiedy się książkę uważa za ceną, inaczej człowiek świadomie uczestniczy w zaśmiecaniu świata. A przecież sam więcej niż raz sprzeniewierzyłem się tej zasadzie (m.in. próbując zarobić na pisanie tej książki) i wiem, że czasem trudno uniknąć tłumaczenia książek głupich i złych. Zwłaszcza gdy ktoś żyje wyłącznie z przekładu. Lub jest debiutantem. Lub samotnie wychowuje dziecko.

* * *

30 MARCA 1951, WARSZAWA

[DO IRENY VINCENZ]

Nie sposób mi się tłumaczyć ze swojego długiego milczenia, tak bardzo czuję się winna, zwłaszcza że tyle okazuje mi Pani wciąż pamięci. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że w owym czasie niepisania urodziłam córkę, co ma swoją wymowę, moja wina być może nieco się zmniejsza. Tym bardziej że moje zidiocenie w okresie ciąży przeszło najśmielsze oczekiwania przyjaciół, potem zaś byłam tak śmiertelnie zmęczona, że zobojętniałam na wszystko. Teraz wróciłam do formy – mniej więcej.

Mam zatem córkę, która nazywa się Justyna i liczy sobie cztery miesiące. Wkrótce (a nawet w najbliższych bodaj dniach) będziemy ją chrzczyć; ojcem chrzestnym zostaje Janek, który ma zbrodnicze plany w stosunku do zgoła niewinnego dziecka, ponieważ z punktu postanowił uczyć ją arkanów bibliografii, historii sztuki, literatury etc., tak że z Justyny wyrośnie nieszczęśliwy idiota, to pewne. Matką chrzestną będzie znana Pani z opowiadań Julia Hartwig; ta znowu bawi małą surrealistycznymi bajkami od kolebki. Jediną osobą rozsądną w tej całej konstelacji jest Jolanta [Białostocka], która interesuje się realiami (jedzeniem, wagą, spacerami), co w tamtych dwojgu budzi niehumanitarną pogardę.

Dostałam wreszcie mieszkanie, pokój z kuchnią, małe to, ale przyjemnie się mieszka.

30 MARCA 1951, WARSZAWA
[DO JERZEGO TUROWICZA]

Bardzo mi zazdrość, że nie byłam na święta w Krakowie. Julia wróciła pełna najlepszych wrażeń, cieszę się, że jej było dobrze. My z Justyną też jakoś sobie dajemy radę. Muszę wyznać, że mała jest najlepszym pomysłem mojego życia i powinnam dziękować Panu Bogu od rana do nocy, że ją mam. Wszystko nabrało wreszcie sensu¹⁷.

* * *

Józef Hen, który w swoich dziennikach nieraz wspomina Joannę Guze (w partiach kąśliwych skrywszy ją pod kryptonimem Eseistki), opowiedział mi o swoim pierwszym z nią spotkaniu, w Oborach, u progu lat pięćdziesiątych: „Zaraz na początku znajomości powiedziała mi, że ma córkę, i to bez żadnego małżeństwa. Nie pytałem jej o to. Sama z siebie się pochwaliła. Z dumą taką: chciała mieć córkę, to ma córkę”¹⁸.

Justyna Guze, historyczka sztuki i muzealniczka, jest oddaną kustoszka pamięci o matce i jej przyjaciółach. Zapytana o rodziców, wymienia nazwisko ojca – rzeźbiarza, o rok starszego od matki – i krótko stwierdza, że ich związek nie miał przyszłości. Indagowana o szczegóły, odpowiada nie wprost. Mówi na przykład o trudnej doli rzeźbiarza: „Jeżeli się nie ma zamówień publicznych, trudno się realizować, a żeby mieć zamówienia publiczne, trzeba iść na pewnego rodzaju ustępstwa. W każdej epoce, a w tamtej zwłaszcza”. Tu zawiesza głos, ale jedną kwestię artykułuje dobitnie: „Mama miała bardzo mocny charakter. Nie wiem, czy to życie w niej wyrobiło, czy zbiegło się to z jej predyspozycjami. Ale wiedziała, czego chce”¹⁹. Sugeruje, że komuś takiemu jak ona trudno byłoby znaleźć partnera na swoją miarę, a rola potulnej małżonki nie leżała w jej usposobieniu.

Mówił mi też Jacek Bocheński: „Joanna wyprzedzała czas – w swoim zachowaniu, a nie w teoriach. Była kobietą, która przejmie męskie zajęcia, chce być silna, żyje wbrew kulturowym wymogom

społeczeństwa mieszczańskiego; przynajmniej przedwojennego, tego, w którym ją wychowano”²⁰.

Została sama z córką. Chociaż nie do końca sama, bo rolę współrodzica wzięła na siebie w pierwszych latach Julia Hartwig. „Ty oczywiście, jeszcze raz Cię upominam, żyj oszczędnie, nie kupuj zbędnych słodyczy (bo masz męża sknerę!)” – monitowała przyjaciółkę w liście podpisanym „Mąż i Ojciec”²¹. W innym pouczała Justynę, że w Oborach ma „nie męczyć kurczaczków i jeść dużo, żeby być najtłustszym Maleństwem w Warszawie”²². Później Hartwig wyszła za Artura Międzyrzeckiego, żeby dla odmiany zostać żoną i matką.

Ale w pierwszych latach macierzyństwa największą podporą strudzonej tłumaczki była pewna młoda kobieta, która do Warszawy przybyła za pracą – Irena Oryszewska. Guze najęła ją jako opiekunkę do córki i we trzy zamieszkały w małym mieszkaniu przy Krakowskim Przedmieściu. Irena doglądała Justyny, Justyna miała być grzeczna i nie przeszkadzać mamie w pracy, Joanna gotowała i zarabiała na dom. Patrząc na jej bibliografię z tamtego okresu: *Trzej muszkietierowie*, *Paryski spleen*, *Dżuma*... Tłumaczenia, które nie powstałyby bez cichego współudziału córki bezrolnych chłopów spod Płońska.

* * *

25 STYCZNIA 1953, WARSZAWA

[DO ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH]

Proszę uprzejmie o udzielenie mi pożyczki zwrotnej w wysokości 1500 zł. Suma ta jest dla mnie w tej chwili niezbędna, ponieważ na skutek choroby mojej córki oraz jej wychowawczyni cały niemal styczeń nie mogłam pracować, zajmując się wyłącznie domem; powstała więc luka w moim budżecie zmuszająca mnie do zwrócenia się o pożyczkę do Związku.

I WRZEŚNIA 1955, KAZIMIERZ

[DO JULII HARTWIG]

Dotrzymałam szczęśliwie do września. Justyna będzie ze mną do 5-ego, potem wróci z Ireną do Warszawy, bo musi robić szczepienia, co potrwa 4 dni. Na wieś do Ireny nie może jechać, tam jest koklusz. Zostanie więc w Warszawie, a jeśli będzie bardzo piękna pogoda, może zabiorę ją z Ireną jeszcze na jakie dziesięć dni do Kazimierza. [...] Justyna może tu być przy b. pięknej pogodzie jedynie, bo tu mimo wszystko wilgoć i ona ma cały czas założony nos. To nie jest dla niej najlepsza miejscowość, więc myślę, że nie będę wyrodną matką, jeśli zostaną w Kazimierzu, a ona, w najgorszym razie, pobędzie resztę września w Warszawie. Wysłać jej gdzie indziej nie mogę, bo nie mam za co.

Mnie pracuje się tutaj dobrze, nawet przy Justynie. Obiecuję sobie wiele po jej wyjeździe, jeśli idzie o robotę. Kończę Cézanne'a dla „Twórczości” i zaraz potem zabieram się do Baudelaire'a. Towarzystwo jest tu bardzo spokojnie, wielki świat powoli opuszcza SARP, na wrzesień zostają malarze [...]. Wszyscy pracują. Pogoda była do-tychczas piękna, byłam z Małą dwa razy na plaży, przez pierwszy tydzień nie zrobiłam nic, tylko odpoczywałam; bardzo jednak byłam zmęczona. Teraz czuję się doskonale i co ważniejsze, wróciłam do równowagi psychicznej [...]. Mam nadzieję, że potrwa to dłużej i zrobię, co mam do zrobienia²³.

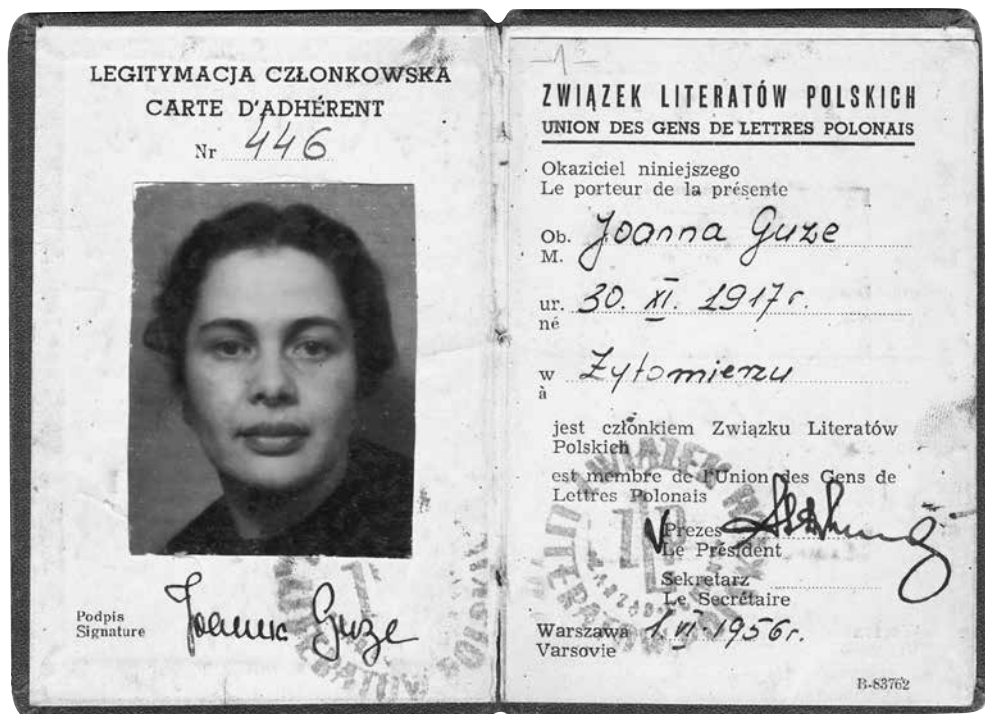
25 SIERPNIA 1956, WARSZAWA

[DO KOMISJI POPIERANIA TWÓRCZOŚCI PRZY ZG ZLP]

Proszę uprzejmie o przyznanie mi stypendium na okres 6 miesięcy – 9 miesięcy, w wysokości 3.000 zł miesięcznie.

Przez okres otrzymywania stypendium chciałabym się zająć przekładem *Spleen de Paris* Baudelaire'a, częściowo też prozy krytycznej Stendhala; obie prace są rozpoczęte od roku; wracam do nich od czasu do czasu, ale wciąż muszę się odrywać dla rozmaitych zarobkowych (łatwiejsze tłumaczenia, felietony do radia, recenzje

dla wydawnictw), mając bowiem jedynie dochody z przekładów klasyków, nie mogłabym sprostać moim obowiązkom finansowym; prócz siebie mam na utrzymaniu jeszcze dwie osoby, stale też trzeba pokrywać jakieś wierzytelności wynikające ze stałych niedoborów finansowych: żyję wyłącznie z przekładów i artykułów, nie mam żadnej posady ani stałego zajęcia. Dla przykładu podam, że *Teatr Klary Gazul* Mériméego przyniósł mi za osiem sztuk w wydaniu książkowym 4.800 zł, *Żakaria* tegoż autora ok. 4000 zł (jeśli idzie o *Teatr Klary Gazul*, sytuacja była jeszcze wyjątkowo dobra, ponieważ kilka sztuk grał Teatr Współczesny, co pozwoliło mi z kolei przelożyć *Kronikę Karola IX* Mériméego i skończyć wreszcie tom szkiców krytycznych Baudelaire'a, w blisko cztery lata po rozpoczęciu). Zależałoby mi więc bardzo na tym, żebym mogła pracować nad *Spleen de Paris* bez przerwy, nie tłumacząc jednego poematu na kilka tygodni, co tylko utrudnia i zniechęca.





Joanna Guze (ok. 1955)



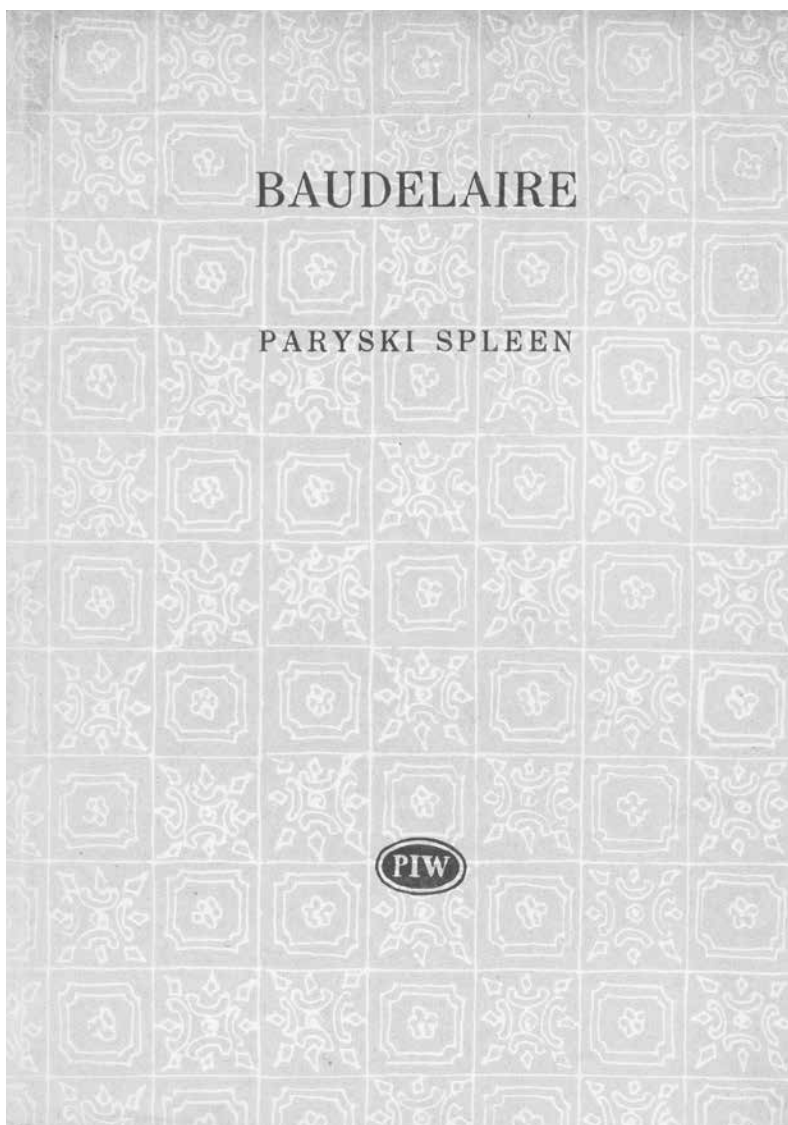
Wernisaż w Muzeum Narodowym w Warszawie, ok. 1955.
Od lewej: Mieczysław Porębski, Joanna Guze, NN.

PROSPER MÉRIMÉE
ZAKERIA

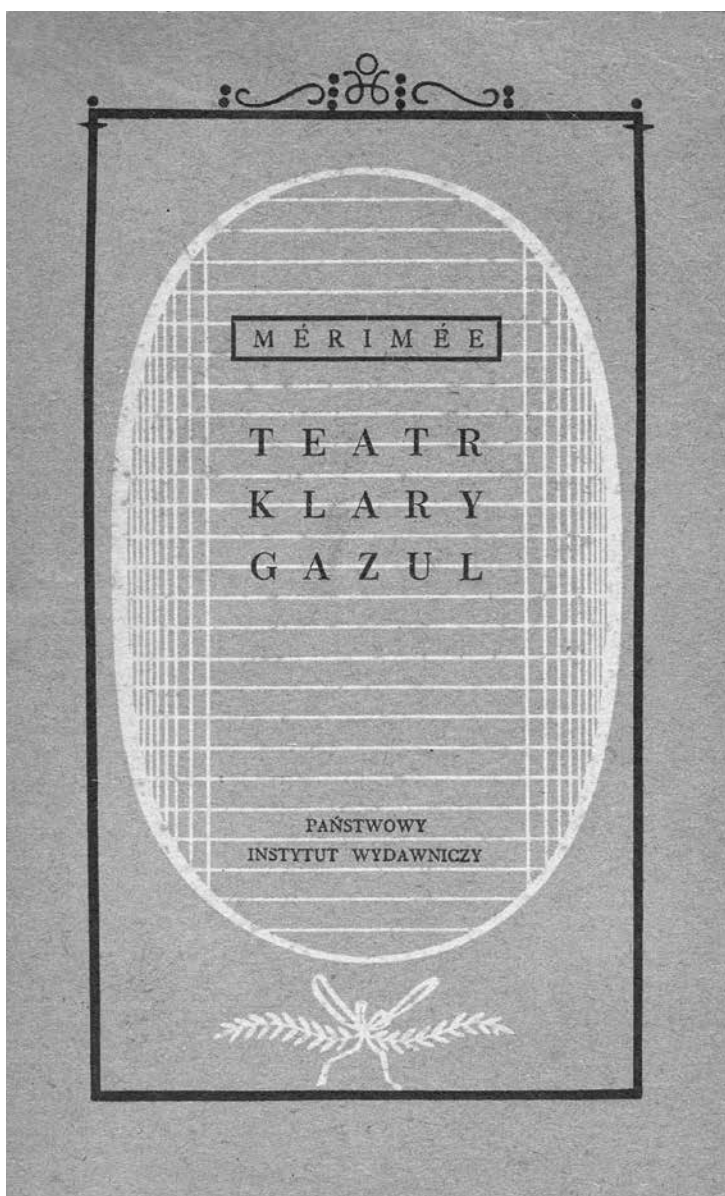


· K S I A Ż K A i W I E D Z A ·

Prosper Mérimée, *Żakeria*, wydanie I, KiW 1952,
projekt: Maria Hiszpańska-Neumann



Charles Baudelaire, *Paryski spleen*, wydanie I, PIW 1959,
projekt: Marek Rudnicki



Prosper Mérimée, *Teatr Klary Gazul*, wydanie I, PIW 1953,
projekt: Marian Bogusz

PROSPER
MÉRIMÉE
KRONIKA
Z CZASÓW
KAROLA IX



Prosper Mérimée, *Kronika z czasów Karola IX*, wydanie I, PIW 1958,
projekt: Ewa Fryszak-Lubelska

14 CZERWCA 1957, WARSZAWA
[DO ANDRZEJA VINCENZA]

Cieszę się, że się Panu Turgieniew mój podoba. Przekład stary, sprzed wielu lat (wydanie już trzecie); ja właściwie rosyjskich książek nie tłumaczę [...]. Przeszłam na przekłady francuskie (które zawsze były główną domeną moich zainteresowań) zupełnie i teraz nie mam innych bogów nad Camusa, którego książkę ostatnią *L'exil et le royaume* właśnie robię.

16 GRUDNIA 1957, WARSZAWA
[DO JÓZEFA CZAPSKIEGO]

Mój ukochany autor i laureat przysłał mi książki, jak przyobiegał, ale za to objawił mi się w całkiem nowej postaci, mianowicie na zdjęciu zrobionym w Sztokholmie, gdzie po otrzymaniu Nobla ogląda jakiś album z dwiema paniami mniej więcej na kolanach. A co robi przez ten czas prorok i ksiądz kanonik? Czy tak cierpi się za ludzkość *moi qui suis habitué d'être seul**? Niech mu zresztą będzie, i tak dochowam mu wierność²⁴.

5 LIPCA 1958, RZYM
[DO GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO]

Od Pani Jeleńskiej wiem, że będzie Pan prawdopodobnie w Rzymie, poniedziałek – wtorek. Niestety, muszę wyjechać już dziś, w sobotę, czasu mam okropnie mało, a do zobaczenia dużo, tak że nie sposób mi czegokolwiek przesunąć. Doprawdy, żal mi okropnie, że nie będę miała okazji Pana poznać. Może następnym razem, jeśli uda mi się tu kiedy przyjechać, co daj Boże, amen.

* (fr.) „ja, który przywykłem być sam” – zniekształcony cytat z mowy noblowskiej Camusa. W wersji oryginalnej noblista mówił o sobie jako o „człowieku prawie młodym... przywykłym żyć w samotności właściwej pracy” (*un homme presque jeune... habitué à vivre dans la solitude du travail*).

Bardzo serdeczne pozdrowienia dla Pana od pp. Watów oraz od Artura Międzyrzeckiego, który jest teraz w Paryżu, skąd jadę.

Szkic Pana o Camusie i Kafce, który mnie szczególnie zainteresował jako nie tyle tłumaczkę, co maniaczkę Camusa, doskonały*. Bardzo też liczę na Pańską prozę. Mam nadzieję, że nadal teksty drukowane tu (tzn. na Zachodzie) będą do nas docierać, więc okazji do obcowania z Panem najbardziej osobistych (choć nie znając Pana osobiście) nie zabraknie. Mimo to jednak bardzo szkoda²⁵.

16 LIPCA 1958, WENECJA

[DO ANDRZEJA VINCENZA]

Doprawdy, uważam to za szatańskie zrzączenie losu, żeśmy się nie widzieli. Kiedy dowiedziałam się o Pańskim przyjeździe do Paryża, było już za późno, żebyśmy mogła zostać. Z obowiązku zobaczenia Włoch nie widziałam dwóch ludzi, na których mi najbardziej zależało. Camusa, który nie wiedzieć po co wyjechał do Grecji, i Pana, który nie wiedzieć dlaczego przyjechał tak późno do Paryża. Niech to diabli! Ale zobaczyłam Włochy i następnym razem mogę spokojnie jechać do Francji (jeśli przedtem nas nie wysadzą w powietrze, bo bawią się na całego). Ja wiem, że Pan nigdy już nie wyśle mi zaproszenia, ale liczę na anielską dobroć Pani Ireny oraz na nieobliczalną umysłowość urzędników, którzy raz jeszcze pozwolą mi się poszwendać po świecie.

Co do Włoch: pięknie tu nieludzko, ale dla mnie obco. Nie mam punktu zaczepienia o nic, a nie jestem Janek, któremu dobrze wszędzie tam, gdzie są obrazy. Dla mnie obrazy chwilami za mało, trzeba mi jeszcze kontaktu z żywym światem (ho, ho!), a jaki kontakt,

* Gustaw Herling-Grudziński, *Sąd Ostateczny. Camus i Kafka*, „Kultura” 1957, nr 5. O pracy nad tym tekstem i o swojej pierwszej lekturze *La Chute (Upadku)* Herling pisze kilkakrotnie w opublikowanym niedawno *Dzienniku 1957–1958*, na przykład: „Wieczorem przeczytałem nowelę Kafki *Sąd* i szkic Camusa o Kafce. Piłem za dużo wina i dlatego za mało mi z tej lektury zostało. Tylko jedno: że nie można bez Kafki pisać o *La Chute*” (tamże, s. 115).

kiedy ci Włosi sławni z urody (przechwalonej) i uprzejmości (zbyt natarczywej) gadają tym swoim językiem (ładnym tylko w śpiewie i zapewne u Dantego, którego, za przeproszeniem Pana Doktora, znam tylko z Porębowicza* i to lichy), językiem, jak się rzekło, z którego rozumiem piąte przez dziesiąte i zazwyczaj rzeczy najgłupsze. Najlepiej mi w Wenecji, bo tu dużo wody, dla której poświęciłam już kilka muzeów w czasie podróży z Jankiem po południu Francji, a tu, na szczęście, muzeów stosunkowo mało. Włóczę się więc nogą i wodą jak popadnie i tak jeszcze kilka dni, bo w sobotę jadę do Warszawy. Pieniądze się kończą szczęśliwie, zobaczyłam, ile mogłam, uczciwie, i wracam bez wielkiego żalu. Ja jak tylko wyjeżdżam z Paryża, to mi serce pęka, a serce nie może pękać we wszystkich miastach świata jednocześnie. Dlatego, wiedziona dobrze rozumianym przesądem, nie wrzuciłam grosika do fontanny di Trevi w Rzymie, ponieważ uprzednio, i starym zwyczajem, wrzuciłam franki do Sekwany, rachując, że nie trzeba nadużywać łask losu, i jeśli ma mi się poszczęścić, to chyba na Francję.

6 MARCA 1960, ZAKOPANE

[DO JULII HARTWIG]

Należy podróżować tylko sleepingiem. Zmęczyłam się okropnie pociągami (a potem resztę autobusem). W Krakowie lał deszcz, głowa mi pękała, polazłam na Boznańską**, potem Justyna zaciągnęła mnie do Muzeum Historycznego (gdzie od lat nie postać niczyja noga), wreszcie do Czartoryskich. Byłyśmy na śniadaniu w Jamie Michalikowej, a na obiedzie we Francuskim, ale na migrenę nic nie pomaga. Tyle tylko dobrego, że Justyna miała mnóstwo przyjemności, była szczęśliwa ze wszystkiego – i z muzeów, i z Michalika, i z hotelu.

* Edward Porębowicz (1862–1937) dokonał pełnego przekładu *Boskiej komedii* na język polski (1899–1906).

** 5 stycznia 1960 roku w krakowskim Muzeum Narodowym otwarto pierwszą powojenną wystawę malarstwa Olgi Boznańskiej.

Do Zakopanego dobrnęliśmy późnym wieczorem. Tulemond* był na miejscu; w pierwszej chwili wydał mi się dość przerażający, ale potem pomyślałam sobie rozsądnie, że następnego dnia będę tak samo siedzieć i belkotać, więc dałam spokój. [...]

Przy stole siedzimy z Hordyńskim, który zawsze przychodzi o godzinę później, więc właściwie same, i równie godnie jak pp. Brezowie, którzy ślą uśmiechy dyskrecji, porozumienia i wyższości z sąsiedniego stolika. Jest Hania Grossowa, p. Posner** (przekazałam pozdrowienia, a ona powiedziała, że wy jesteście ludzie nadzwyczajni), Korczakowie z córeczką (b. miła, w wieku Justyny, bawią się świetnie), Lemowie i Rylscy [...] oraz różni starsi panowie i panie, których nie znam. Justyna bez zarzutu, w ogóle nie czuję jej obecności. Na razie nie robię nic, bo nie mam sił. Ale to minie.

Kupiłam wczoraj numer „Nowej Kultury”, gdzie złożyli mi tak artykuł o Borowczyku i Lenicy, że nic nie można zrozumieć – wiersze poprzekręcane, pełno błędów, ale bezczelnych, dla Lenicy obraźliwych (np. nieuwaga zamiast równowaga kompozycyjna itd.). Napisałam list do Wasilewskiego***, dość grzeczny, ale dość też wściekły. Nie wiem, lekceważenie czy niechlujstwo, tego jednak już nadto. Pod moją notą jest tym razem dowcipny podpis „reprodukcja”, poprzednim

* Fonetyczny zapis fr. *tout le monde* – wszyscy.

** Anna Posner (1917–2001) – tłumaczka literatury polskiej mieszkająca w Paryżu. Jakiś czas przed swoim przyjazdem do Zakopanego Posner zaproponowała listownie Witoldowi Gombrowiczowi, że przełoży na francuski jego *Pornografię*, wówczas niewydaną jeszcze w żadnym języku. Gombrowicz posłał jej z Buenos Aires maszynopis, zastrzegając, żeby następnie oddała go Jerzemu Giedroycowi, który miał powieść opublikować. Po otrzymaniu tekstu Posner zamilkła. Zaniepokojony Gombrowicz zaczął o nią indagować swoich europejskich korespondentów, a dowiedziawszy się o jej wyjeździe do Polski, nabrał podejrzeń, że plan przekładu był intrygą SB mającą na celu przechwycenie powieści.

*** Andrzej Wasilewski (1928–2009) – krytyk literacki i wydawca. W latach 1958–1960 zastępca redaktora naczelnego „Nowej Kultury”. Przez lata związany z Państwowym Instytutem Wydawniczym, najpierw (od 1967) jako redaktor naczelny, później również jako dyrektor (1971–1986). Okres jego kierownictwa uchodzi za złotą erę PIW-u. Ojciec tłumaczki Anny Wasilewskiej.

razem była kobieta siedząca Gauguina, a podpisali „dwa akty na plaży”. Można jednak zwariować, zwłaszcza przy mojej pedanterii.

21 LIPCA 1960, USTKA

[DO JULII HARTWIG]

Życie mijają mi tu wcale znośnie. Towarzystwo żadne, atmosferycznie zmienne, gastronomicznie obfite. Kąpię się trochę, w strachu Bożym, że coś mi w środku nawali, więc uważam; jem powściągliwie: nie schudnę, ale też nie utyję, i w tym celu zważyłam się od razu po przyjeździe; pracuję systematycznie jakie 4–5 godzin dziennie i planowo odwalam van Gogha. W ogóle niezłe, choć nieciekawe (ale dlaczego miałoby być ciekawe?). Justyna zdrowa, kąpie się co dzień, ma pełno dzieci, opalona i rażna. Bardzo miłe dziecko, choć chwilami nieznośne i z przykrością myślę o swoim wyjeździe na jesieni: po co mi to było i będzie?

Chcę tu zostać do 15-go i szukam jakiejś klitki, co nie jest łatwe, bo wszyscy chcą na miesiąc za 1800, a ja na 2 tygodnie za 500–600. Ciekawe, co z tego wyjdzie. Ale szkoda wracać i trzymać mopsa w Warszawie.

Tu przerwa, jak pisze van Gogh do brata (idąc na kolację), bo właśnie wołają, żebyśmy obejrzała jeszcze jedną norę.

Wracam do listu (jak pisze van Gogh do brata po kolacji). Norę wynajęłam! Drugie piętro, sienniki, ani się obrócić, szafunia dla lalek i misiów, misunia do mycia dla kotka na mleko, bez okien, za to drzwi na balkonik wpuszczające światło – razem 550 zł za dwa tygodnie. Strach pomyśleć, jak ja tam będę pracować (bo jest i stoliczek, a jakże, a nawet krzeselczko), ale lepiej tak, niech już Justyna ma wakacje.

30 LIPCA 1960, USTKA

[DO JULII HARTWIG]

W związku z ulewą i mrozem okazało się, że nora niemożliwa, więc straciwszy 50 zadatku, wynajęłam dobry pokój za 700 (700 + 50 = 750). Finanse by się jakoś upchały, gdyby nie ta przeklęta „Nowa

Kultura”: w bieżącym numerze miał być Renoir, nima, przesunęli, w związku z tym napisałam dziś alarmujący list zaczynający się od słów: Panie Redaktorze – bo nie wiadomo, do kogo trafi, a kto jest, a kogo nie ma w tym upiornym ich bałaganie – Panie Redaktorze, proszę o wypłacenie mi zaliczki za tenże z Pańskiej winy niewydrukowany artykuł. Termin dałam mu do 6-go, grożąc, że inaczej zostanie na wieki w Ustce; argument fatalny, bo jasne, że woleliby nie mieć mnie i dalszych moich awantur w Warszawie. Jeśli 6-go, sobota, nie otrzymam telegraficznie pieniędzy, szykuj się na klops następujący: musisz wytrzasnąć 750 zł płatne w terminie do 18 sierpnia. Wracam 14-go wieczór, 18-go mi się należy, więc oddam. Ale skąd można pożyczyć?! Jacka [Sempolińskiego]* nie ma w Warszawie, Białostockich też nie. Może jednak N.K. przyśle. Gdyby nie, depeszuję do Ciebie. Ty nie wiem co, ale w każdym razie oddepeszuj, jeśli nie zdobędziesz pieniędzy, a jeśli zdobędziesz, od razu telegraficznie wyślij.

Mam nadzieję, że wybaczysz mi brutalność i obcesowość w postawieniu sprawy, a także beznadziejność mojego żądania [...].

Mój van Gogh idzie, mam w tej chwili 170 str., z tego 130 zrobiłam tu. Jeszcze jakie 100. Idzie tylko dlatego, że tak źle napisane, że zły przekład jest obowiązkiem, a także z powodu tygodnia deszczów, kiedy pracowałam od rana do wieczora.

* * *

* Jacek Sempoliński (1927–2012) – malarz. U progu kariery uczestniczył w wystawie *Przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi* w warszawskim Arsenale (1955), która przełamała dominację socrealizmu w powojennej polskiej plastyce. Jeden z najbliższych przyjaciół Joanny Guze, która poznała go w Warszawie we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy dużo pisała o współczesnym malarstwie. Sempoliński, który o dwa lata przeżył swoją starszą przyjaciółkę, w pośmiertnej nocy tak wspominał jej ówczesną pozycję w świecie sztuki: „Jej postawa i pisarstwo budziły podziw powszechny. Politycy cichli, a artyści, jeśli czasem osobiście podrażnieni, musieli chować urazy... Zaprzyjaźniona z wybitnymi, sama traktowana jak wybitna” (Jacek Sempoliński, *Joanna Guze. Pisanie o sztuce*, „Zeszyty Literackie” 2009, nr 2, s. 113).

Zabawne są te grymasy na van Gogha – i znamienne.

Zabawne, bo sama sobie ten przekład wyśniła. Zamieszczony w „Kuźnicy” w 1947 roku krótki wybór z listów Vincenta do Theo był jej pierwszym opublikowanym tłumaczeniem z francuskiego. Dwa lata później, też w „Kuźnicy”, dość zjadliwie zrecenzowała *Pasję życia*, powieść Irvinga Stone’a o van Goghu, na koniec tekstu wyrażając ubolewanie, że listy malarza, „książka tyle piękna, co wzruszająca”, nie zostały dotąd przełożone na język polski. (Odnotujmy na marginesie, że w tym samym numerze „Kuźnicy” ukazała się relacja ze szczecińskiego zjazdu Związku Literatów, który zadekretował w Polsce socrealizm. Kiedy jedni ostrzyli pióra, by umacniać władzę ludową, ona fantazjowała o tłumaczeniu listów udręczonego outsidera)²⁶.

Znamienne – bo książkę poznaje się w tłumaczeniu, a wtedy czasem człowiek odkrywa, że to, co jawiło mu się jako „piękne i wzruszające”, bywa monotonne, pretensjonalne, mgliste lub niezrozumiałe. Czytelnik prześlizguje się po tych fragmentach. Tłumaczowi wchodzi one w kręgi szyjne, nadgarstki i pod czaszkę.

Wymowne są też fragmenty o pieniądzach. Czytając listy Joanny Guze, solidaryzuję się z przepracowaną tłumaczką i samotną matką. A przecież jest coś stosownego w fakcie, że przekład listów van Gogha nie odbywał się w warunkach niezmałconego drobnomieszczańskiego komfortu. Oboje – Guze i van Gogh – odkryli w swoim czasie, że pewne wybory, nazwijmy je życiowo-estetycznymi, mają swoją cenę.

* * *